

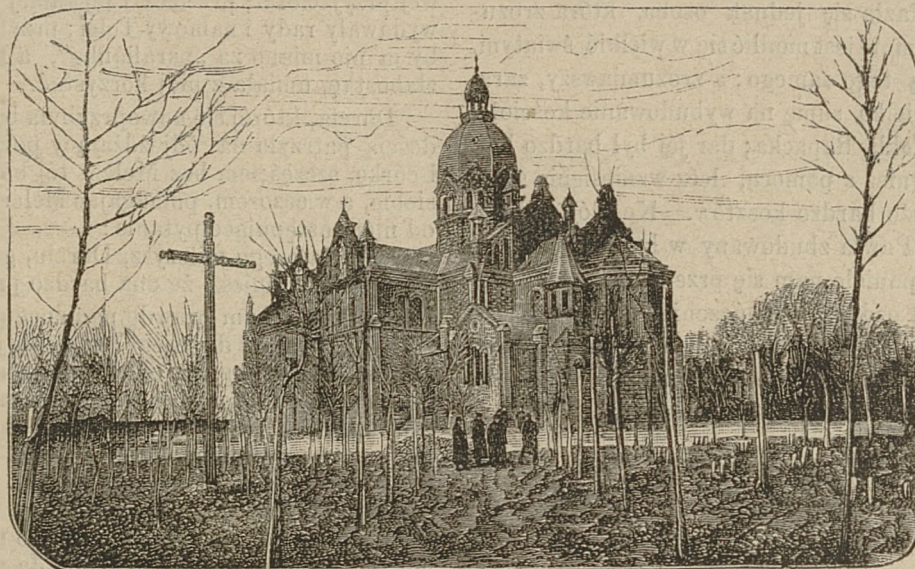


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Kościół Ś-go Piotra i Pawła na cmentarzu Ś-tój Barbary w Warszawie.

Kościół Ś-go Piotra i Pawła na cmentarzu Ś-tój Barbary W WARSZAWIE.

Gdy pierwsi opowiadacze wiary Chrystusowej rozeszli się po świecie dla nauczania ludu, gdziekolwiek który z nich się zatrzymał skupiając około siebie słuchaczy, każdy kreślił na ziemi krzyż, jako godło świętej wiary; godło przypominające nam Boga-człowieka i Jego wielką ofiarę. Od owiej chwili

krzyż coraz to więcej się rozpowszechniał, a ze znaku nakreślonego na ziemi wyrastał coraz więcej ku górze, jak wzrastała wiara pobożnego ludu. I oto rozrósł się w wielkie świątynie pańskie, w wspaniałe kościoły, które budową swoją przypominając znak krzyża, przyciągnęły pod swe ramiona wszystkich szukających pociechy w strapieniu, lub dziękujących za doznane łaski. Tak kościół przyciągnął wszystkich jednocząc węzłem wiary; przyciągnął zaś przede wszystkim sieroty, a wskazując drogę prawą i poczciwą uczy czczyć Stwór-

cę objawionego w każdym technieniu świata. I wznosiły się świątynie pańskie od najpierwszej chwili rozkrzewiania wiary świętej, bo lud zapragnął razem się gromadzić i wspólnie zanosić modły. Każdy z czém mógł śpieszył do budowy Domu Bożego, a gdy jedni składali bogate dary, inni przynosili wodę lub piasek, aby tylko i ich maleńka ofiara złożoną była na cześć Tego, który również w olbrzymiem słońcu jak i w najlichszej trawce, podziwu i dziękczynienia jest godzien. A nie tylko chęć wspólnej modlitwy popychała ludzi do wznoszenia owych świątyń; inne jeszcze były w tém celu. Chrześcijaństwo ich wielkością i wspaniałością chcieli dać poznać poganom wielkość i potęgę Boga, a uroczystością obrządków świętość religii. I dokazali swego; bo oto wyznawców przybywało coraz więcej, a owi pierwotni wyznawcy kryjący się z początku w podziemiach, zapełnili ziemię wznoszonymi pod sam strop nieba świątyniami.

Wieki mijają, znikają najwspanialsze na rozmaite cele przeznaczone budowle, lecz kościoły chrześcijańskie zawsze istnieć będą; fundamentem dla nich są serca ludzkie. Niema kraju tak ubogiego, któryby nie miał choć jednej wspaniałej świątyni, a niema tak ubogiego człowieka, któryby nie dopomógł czemśkolwiek przy budowie kościoła. W naszej ziemi porozrzucane maleńkie drewniane kościółki, świadczą o pobożności ludu i potrzebie zbierania się do wspólnej modlitwy. Lecz te drobne, maleńkie kościółki nie mogły pomieścić wszystkich wiernych — w miastach wzniosły się wielkie świątynie, ale i tych za mało, bo wszakże ludzi ciągle przybywa. I oto Warszawa nasza, rozrastająca się coraz więcej, w stronie kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, ulicy Marszałkowskiej i jej poprzecznych, aż do rogatek Mokotowskich miała tylko jedną maleńką kapliczkę na cmentarzu Ś-tój Barbary, mogącą pomieścić zaledwie 150 ludzi; tymczasem ta część miasta liczy wiernych 12,000! Znalazła się jednak osoba, która zrozumiała, że jeżeli jęj przyjemnie jest modlić się w wielkiej świątyni, to i inni również pragną tego samego; a zrozumiawszy, zarządziła temu, składając wielką sumę na wybudowanie kościoła.

Tą osobą jest ś. p. Tekla Rapacka; dar jęj był bardzo hojny, inni pośpieszyli również z pomocą, lecz wzniesienie świątyni pociąga za sobą dużo bardzo kosztów. Kościół pod wezwaniem Ś-go Piotra i Pawła zbudowany w kształcie krzyża, w stylu romańskim, wspaniale nam się przedstawia, lecz brakuje w nim koniecznych ozdób i wykończenia. Taki jak jest, podajemy na obrazku — co dalej będzie? nie wiemy. Każdy wszakże choć drobnym datkiem może się przyczynić do zapełnienia braków.

DORCIA,

powieść przez Maryą Świdorską.

(Dalszy ciąg).

Powracając zastała wielki rozruch we dworze Poradowskim i z przerażeniem się dowiedziała, jakiego psikusa wyplątał Mundzio, tak, że omal nie stał się przyczyną wielkiego nieszczęścia. Oto wymknąwszy się panu Karskiemu, który aż wychudł i wymizerniał od ciągłego nadzoru nad upartym, nieznośnym chłopcem, na koniku zajechał do miejsca, gdzie przechodziła droga żelazna; tu przyszedł mu niedorzeczny pomysł położenia na szynach kilku pniaków i kamieni, sam zaś, w sąsiednim gaju ukryty, oczekiwał, jaki będzie skutek owego „figla” jak to nazywał. Szczęściem maszynista w porę zauważył przeszkodę i zdołał wstrzymać cały pociąg, ale służba

kolejowa natychmiast urządziła obławę i schwymano nierozsądnego Mundzia w lesie za wskazówką kilku pastuszków, czego z daleka dojrzeli. Nadjechał tymczasem nauczyciel i le dwie mu się udało uwolnić niepozyciwego chłopca z kłopotu w który się sam wplątał. Zawiadomiony o wszystkim ojcie wystąpił już teraz stanowczo i korzystając ze zrzeczności oświadczył, że panicza natychmiast do szkół odwiezie. Jakoż w ty dzień po Wielkiej Nocy odjechał szanowny Mundek zawsze pod opieką pana Karskiego do miasta, gdzie go miano przyzwać do rygoru i posłuszeństwa.

Przedtém jeszcze odwiedziła panią Malicką dawna jęj znajoma z córką jedynaczką, ładną, zgrabną, ale też i zbyt czułą, w tym wszystkim zajętą Herminką, która się od razu zaprzyjaźniła gwałtownie z Melcią nabijając jęj głowę rozmaitemi niedorzecznościami.

— Co też mówisz, *Chérie*, że ty nie powinnaś już myśleć o balach i zabawach z powodu tych dziobeczek na twarzy? Wierz mi, to najmniejsza rzecz: *la toilette, c'est tout* i to na balu najwięcej popłaca. Mama mówi, że ja do tego mam wrodzony talent, ale wiesz, jak się ubiorę, to mi wszyscy zdroszczą! i ciebie potrafiłabym ustroić. Gdybyś tylko z nami na parę tygodni pojechać mogła, już jabym ci to wszystko z głowy wybiła! Musimy to urządzić; powiedz mamie swojej, że się nudzisz, że dywersyi potrzebujesz i wymknij się ztąd. Fi! to śmiech, żeby panienka w twoim wieku jeszcze się uczyła, jakby jaka mieszczka. Mówisz ładnie po francuzku, śpisz trochę, to i dosyć. Już spodziewam się, że nie zechcesz zostać tak przemądrą, jak panna Nowostawska. Ciocia Florcja mówi, że to dziwactwo: toż ta twoja panna Tolcia uczyła się podobno fizyki i innych nieprzyzwoitości; suszy gasienicę zbiera różne chwasty. Ciocia mówi, że to pedanterya. Wycobraż sobie, że nie chciała z ciocią pojechać w Warszawie na *raut* do hrabstwa K. w wielkim poście; tłumaczyła się, że bez matki i w takiej porze nie może bywać na większych zebrań. Ciocia mówi, że to parafianščyzna i ma rację podług mnie. Otóż i ty z nią zdziwaczysz, tém bardziej, że jak wiesz, zakochałaś się zupełnie w tęj swojej mentorce.

Melcia, z natury chwiejna, uległa po trochę wpływowi niewęj przyjaciółki; przecież i jęj samęj czasem się nudnymi wygadawkami i namowami Tolci; przytém bała się niezmiernie by ją nie miano za „parafiankę”, a Herminka, poznawszy tę słabość, umiała z nięj korzystać.

Dorcja, któręj się nowoprzybyła bardzo nie podobała, z radością patrzyła na odjeżdżający powóz, który unosił matkę i córkę, szczęściem bez Melci; tęj bowiem rodzice nie dali o siebie, a wieczorem, pomagając Melci w rozbieraniu, usłyszał od nięj następujące pytanie:

— Dla czego milczysz, Dorciu, gdy ja chwalebę Herminkę? Czyż nie znajdujesz, że ona bardzo przyjemna.

— Jeżeli mam prawdę panięce powiedzieć, to wcale nie.

— A to znów dla czego? U ciebie jest tylko jedna doskonałość na świecie, oprócz cioci Misi naturalnie, to panna Tolcia. Ciekawam, co masz do powiedzenia przeciw Hermince. Prawda! żadnych morałów nie mówi. Bo też ona widzi, że ja już nie jestem dzieckiem.

— A mnie się zdaje przeciwnie. Właśnie ona tak z panienką rozmawiała, jak gdyby jęj we wszystkim swoje zdanie narzucić chciała, a wszystko, czego tylko sama nie umie lub nie zna, nazywa parafianstwem. Ja w mojem położeniu świata znam nie wiele, ale przecież z tego, co widzę nieraz i z książką, żeż poznać można, że prawdziwie rozumne i miłe panienki nie są takie, jak panna Hermina.

— Zabawna jesteś, moja Dorciu, ale może masz i trochę słuszności. Prawdę rzekłszy, Herminka tylko o balach, o sukniach i o tém, co kto złego zrobił, lub powiedział rozmawiała. Ale ona mnie bardzo pokochała i ja ją lubię.

— Nie wierzę ja, w to kochanie—odparła rozważna Dorcja, która niestety z rozmowy usłyszanęj między matką a córką mogła się przekonać, że owa Herminka wcale nie tak byle czule usposobiona dla Melci, jak to mówiła i okazywała; nie wspomniła jednak nic o tém panięce swojej, wstręt mając do wszelkich plotek i ploteczek. Tymczasem nadjechała pan-

a Tolcia, a ję swobodne i serdeczne obejście rozproszyło krótkie chmurki nagromadzone w serduszkach Meluni.

Po skwarném i burzliwém lecie nadszedł Wrzesień tak piękny w kraju naszym częstokroć. I teraz zawitał wieczór ichy, pogodny, jak ów niegdyś dnia letniego, kiedy po mozolnej pracy wszystko do spoczynku dążyć się zdaje. Zielone trzew liście tu się złożyły jesienną swą barwą, tam czerwienią, jakby od promieni zachodzącego słońca; i ptaszki już inaczęj, ciszej jakoś i rzewniej śpiewają i kwiatów coraz mniej a łakach, tylko sady czerwienią się z daleka od wybornych kwoców, a sliweczki, jak szafirowe oczka, spoglądają z pomiędzy liścia. Po drogach wiejskich toczą się wozy ładowne zbożem, lub sianem po raz drugi skoszonym. Ale w Poradowie mutno; wszyscy chodzą pomartwieni, bo pannie Michalinie się pogorszyło i lekarz oświadczył, że choręj niewiele już dni pozostało. Cierpienia ję zmniejszyły się, co prawda, ale niemi razem i siły, a życie coraz słabszym, jak w dogasającej lampce, tłało promykiem. I ona sama stan swój doskonale znała; gotowała się też do spoczynku wiecznego, pocieając spłakaną Dorcię i zgromadzających się w koło nię krewnych. Leżąc w długim fotelu swoim, wywiezionym na werendę, aby oddychać mogła ciepłem, jesiennem powietrzem, zpatrywała się z upodobaniem w ten świat, który wkróć puścić miała bez żalu prawie; u nóg ję siadywała Dorcia; Melunia z Tolcią także godziny całe spędzały w towarzystwie kochanej choręj, która im zawsze coś pięknego, budującego powiedzieć umiała.

— Nie mogę sobie wyobrazić — mawiała — uczucia tych, którzy żyjąc nie myślą o innym, lepszym, doskonalszym świecie. Gdzie wtedy zaczerpnąć ulgi, osłody w cierpieniu? Jak żyć, myśląc, że ci, których kochamy, zginąć mogą w jednej chwili bez śladu, jak te nędzne muchy, zwabione do trutki, albo komar palcem zgnieciony? Poczoby wtedy kochać ludzi, wielość to, co piękne i wzniosłe, dążyć do dobrego, jeżeli kamyk niewielki, szpilka drobna, może w każdej chwili przeciąć pasmo tego znikomego życia.

Dziewczątka, słuchając ję, zamyślały się nad ważnemi zagadnieniami życia, a patrząc na słodcz niewyczerpaną biędnęj męcennicy, miały żywy przykład, do czego prowadzi pobożność prawdziwa i zdanie się na wolę Bożą. Największe może wrażenie czyniło to wszystko na Meluni, która dawniej w lekkomyślności swęj, wspólnej zresztą wielu dziewczętkom w jęj wieku, na śmierć zpatrywała się jak na coś okropnego, odrażającego. Teraz widziała ją przychodzącą cicho, łagodnie, jak ten Anioł biały o śnieżnych skrzydłach, którego obrazek miała ciocia Michalina nad swem łóżkiem.

— Widzę, że lubisz patrzeć na mojego Anioła — rzekła raz ciocia — „możebyś chciała postyszeć jego historię. Byłam wtedy bardzo młodziutką panienką, w twoim wieku może, kiedy z przyjaciółką moją Amelią i jęj ojcem odbywaliśmy podróż za granicę. Obie byłyśmy wówczas pełne życia i świetnych nadziei, wszystko bowiem uśmiechać się nam zdawało; obie lubiłyśmy się bawić, ale Amelia chciwszą była rozrywek wszelkich niż ja, przez poważniejszą wychowana matkę. Razu jednego, gdyśmy wiedziały pracownię znanego malarza w Rzymie, opiekun nasz zaproponował, by każda z nas wybrała obrazek, który jęj się najchętniej podoba: po długim namyśle i wahaniu się, ona wzięła prześliczną Hiszpankę, tańczącą z tamburynem, ja... mego Anioła. Dziwnem zrzędzeniem była to jak gdyby wróżba naszej przyszłości. Amelia wkróć potem zrobiwszy świetną, jak to mówią, partyę, rozpoczęła życie zabaw, rzuciła się w wir światowy; ja niedługo później zasłałam i nigdy już nie odzyskałam zdrowia. A jednak, czy wiecie? nie mieniałabym się z nią.

— A to dla czego, cioteczko? — spytała zadziwiona Melcia.

— Bo mimo świetności, jaką była otoczona, Amelia nigdy nie zaznała chwili szczęśliwej, jak mi to sama mówiła nieraz; a ja wśród cierpień moich doświadczałam uczuć słodkich, radości nawet i wdzięczności ku Bogu. Spotkałam dużo ludzi zacnych, których kochałam i od nich doznawałam życzliwości; ona twierdziła, że ze złośliwymi i zazdrocnymi po większej części miała do czynienia. Zanadto szlachetna w głębi

duży, by się zadowolnić mogła życiem złożonym z samych wizyt, balów i wieczorków, nie umiała go jednak zapełnić czem innem; po kilku latach znudzona, przesycona, wzdychała do zmiany jakiejś. „Zdaje mi się czasami, mówiła, że wolałabym być prostą wieśniaczką, niż tak żyć ciągle, jak teraz”. Gdy mię odwiedzała i zastawała leżącą na sofie wśród rysunków, pism i książek, powtarzała mi nieraz, że radaby się znaleźć na mojem miejscu, a jednak po chwili śpieszyła znów na jakąś, nieznośną, jak twierdziła, wizytę. Już ona sama, nie wiedząc o tém, straciła zdolność zajmowania się czemś poważniejszém: od nudy przechodziła do zabawy szalonej i znów wracała do nudów; wreszcie, przeziębwszy się na balu, dostała gwałtownego zapalenienia gardła i umarła prawie nagle. A mnie mój Anioł powoli wzywa do siebie — dodała ciocia Michalina z uśmiechem rzewnym, patrząc w dal.

— Moja cioteczko — zagadnęła Melcia — czyż to jest grzechem pragnąć w życiu rozmaitości, zabawy nawet, znaczenia, bogactwa?

— Grzechem nazwać tego nie można, ale wierz mi, dziecko drogie, że nie to daje spokój i szczęście. Zadowolenie wyrobić możemy z pomocą Bożą, nawet bez tych wszystkich błyskotek życia. Zresztą powiedz mi ty sama szczerze i otwarcie, czy nie czujesz się szczęśliwszą teraz, niż przed dwoma laty naprzykład, a jednak w otoczeniu twojem nic się prawie nie zmieniło na lepsze od tego czasu?

— To prawda, cioteczko, że jestem o wiele szczęśliwszą teraz, ale bo też i wszyscy w koło mnie lepsi.

— Nie, to tylko ty, dziecko moje, wszystko oświeblasz promieniami własnego, wyszlachetniałego serduszka... — i panna Michalina, kładąc szczupłą, przezroczytą już prawie rękę na głowce siostrzenicy, znużona długą rozmową, przymknęła oczy. Dorcia pośpieszyła jęj natrzeć czoło orzeźwiającymi kroplami i podać lekarstwo.

(d. c. n.)

ODŚWIEŻONA TARCZA

ALBO KRÓL PONIEWOLNY.

OBRAZEK DRAMATYCZNY.

przez M...a.

(Skromna komnata bawialna w mieszkaniu księżny Wiśniowieckiej Gryzeldy z Zamoykich, w drewnianym dworcu księdza Przemowskiego Prymasa, przy Senatorskiej ulicy w Warszawie. Stalski, stary sluga, ścięra pył ze sprzętów, porządkując i zrzedząc.)

STALSKI.

A jeszcze tu... a zasię!... precz ztąd, pył i prochy, Dopóki stary Stalski rusza się choć trochy. A cóż się stało z tą tam ramą u zwierciadła?.. (przygląda się). Czy kurz to? czyli nie kurz? czyby śniedz przypadła? Ha, czegóż doczekałem, pokojowiec stary!... Pogardy jestem godzien, lub jak młodzik, kary! Gdy śniedz dziś dopuszczam przypaść tak na sprzęcie Porządek utrzymując lat sześćdziesiąt święcie: Sześćdziesiąt lat w mych rękach ścięra i porządek A ot tam śniedz!

(Usiłuje po stołku dosięgnąć ramy i nie może. Księżna Gryzelda wnuka Jana Zamoykiego wchodzi z bocznego gabinetu).

KSIEŻNA.

Co robisz! Stalski! miej rozsądek! Gdzie leżysz po tych stołkach na skręcenie karku? Natychmiast zejdz!

STALSKI (zszedłszy).

O, pani, wszakże jak w zegarku Porządek dotąd u nas zawsze szedł wzorowo, I jam go sam prowadził nieudolną głową, A teraz, snadź lenistwo, płochość niegodziwa, I mnie się już czepliła, spręty śniedz pokrywa,

Pokrywa właśnie w miejscu kędy klejnot świeci,
Ojcowych zasług blaskiem, lśniąc na wzór dla dzieci...
Wypędźcie mię, niech umrę z żalu i z tęsknoty,
Gdy śniedzi dają kazić honor domu złoty!
(wybuchu płaczem).

KSIĘŻNA.

Pocziwy stary słuگو, wierny przyjacielu,
Zacniejszy od wysoko położonych wielu,
Nie winuj się, bo nie ty winieś złyj doli,
Co Wiśniowieckich, śniedzią przysuć chce powoli.

STALSKI.

A co tam?... zda się niby, do drzwi ktoś kołacze!
(wybiega drzwiami w głąbi).

KSIĘŻNA *(jakby dokończając jego mowę).*

Gdzie Wiśniowieccy goszczą, prawie jak tułacz:
(spogląda na rame).

W istocie zaśniedziła ta książęca mitra...

STALSKI *(wpadając z listem).*

Książęcia, paniczka pismo jest, Dymitra!

KSIĘŻNA.

Ah, przecież!...

(Księżna czyta po cichu, Stalski sprząta, spoglądając z boku na księżnę, gdy ona spuszcza głowę zamysłoną po przeczytaniu, on krząka starając się zwrócić uwagę, potem mówi półgłosem, niby do siebie:)

STALSKI.

Co też to tam nasz paniczek pisze...

KSIĘŻNA *(żywo, budząc się z zamyslenia).*

A wiedz!... ty który z nami w burzę trwasz i w ciszę:

Mój młodszy syn w pobliżu stoi u stolicy,
Z hufcami od tureckiej przybył wprost granicy,
I liczy, że przy króla w czasach tych obiorze
Obożnym lub chorążym zostać także może;
Lecz aby żyć w stolicy, trzeba szczypty złota
Co garściami rzucała ojców je szczydota,
Więc idź... mi do starego kupca kosztowności,
Wiesz który?... co raz częściej on w tych progach gości;
Niech przyjdzie do mnie zaraz, jeszcze dziś, bez zwłoki!
(wychodzi żywo do gabinetu).

STALSKI *(z załamanymi rękami, po cichu).*

Znów sprzedać? co!... ej byle nie ten nóż szeroki,
Dyamentem wysadzany, co go sam Jeremi
W pierwszej w życiu utarcze z hufce tureckimi
Wyrwał baszy, gdy godził właśnie nań zawzięcie,
I własnym nożem baszy oddał jego pchnięcie.
A potem o Gryzeldę kiedy szedł w zaloty
Wśród innych darów nóż ten dziwny dał roboty,
I wiem, że po nad wszelkie droższe później dary,
Najwięcej księżnie znaczył pierwszy nóż ten stary,
Ponieważ on w Jeremim znaczył bohatera!
Wraz idę już po kupca, tylko się pościera,
Ten kurz, a najprzód trzeba otrzeć to zwierciadło...
(ustawia znowu stołki i próbuje wleźć na nie, książę Michał wchodzi drzwiami w głąbi).

MICHAŁ.

A po co Stal tam włazi? po to by się spadło?

STALSKI *(zrzędząc).*

Już książę Michał od swych ksiąg się odjął przecie!
I już przeszkadza!

MICHAŁ.

Złaż mi! po co tam lezicie?

(przytrzymuje starego i przymusza zejść ze stołków).

STALSKI.

Kurz ścieram; tam aż czarno; to się zaraz wytrze!

MICHAŁ *(patrzając w górę).*

Ta mitra?... ej marudo, daj ty pokój mitrze,
Jęj blask przyćmiły dawno wrogich losów ciosy.

STALSKI *(na ucho księżni).*

To rusz się panicz żwawo, a odeprzeć losy!

MICHAŁ.

Gdy ojca bohatera zasług nie uznano,
Nie będę im przed oczy stawiał sławne miano,

U poganina sławne, co go wciąż się boi,
Gdy bohatera dawno zapomnieli swoi.

STALSKI.

Przypomnij własnym czynem twego ojca czyny!

MICHAŁ.

I po co?... bez pomocy mój i bez mój winy
Potrafią pany bracia i zwyciężać wroga
I swarzyć się i godzić.

STALSKI *(załamuje ręce).*

Doloż moja sroga!

MICHAŁ.

A co?

STALSKI *(grożąc).*

Posłuchaj książę... ty masz twą przywarę
Na którą aż się krwawi moje serce stare
Za dużo myślisz!

MICHAŁ *(ze śmiechem).*

Myszę? czyliż to jest wada?

Masz cały naród który rąbie się lub gada!

STALSKI.

To znowu inna kwestya! wszystko ma być w miarę,
Bo cnota przesadzona zmienia się w przywarę!
Rozważna myśl w człowieku jest rzecz mądra zgoła,
Lecz ciągle w tył znów patrząc któż iść naprzód zdoła!
I napisano, że kto pluga raz się imie
To niech się nie ogląda, zwłóczy, ani drzemie,
Lecz naprzód wciąż a dalej plug swój ciężki wodzi...
Zaś każdy jest u pluga kto się na świat rodzi!

MICHAŁ *(z udanym gniewem, żartując).*

Nauki mi tu będziesz dawać! zrzędo stary!

STALSKI *(zakłopotany).*

Rzec chciałem... że nie dobrze dumać wciąż bez miary,
I truć się wspomnieniami, rzec się tak poważę,
Czas działać! jak i kiedy okoliczność każe!
A oto cało miasto wrzawą aż się trzęsie,
A za Warszawą! reta! gdyby wszystkie gęsie
Z całego świata zebrać i niewiasty z niemi
I gdyby wrzeszczeń wszystkie jęły z całej ziemi
Takiego jeszcze chyba wrzaskuby nie było
Jak jest na Woli teraz, wrzawa że aż miło,
Czy bogacz kto, czy sławny, czy też chleba łaknie,
Nikogo pod te czasy dzień w dzień tam nie braknie,
A Wiśniowiecki w domu siedzi jako myszy!
Nic nie wie co się dzieje, widzi ani słyszy!
Toć wstyd! syn Jeremiego który trząsał krajem
By siedział jeno w księgach niby jak za najem,
Gdy każdy z obowiązku mały czyli duży
Jak umie tak swęj ziemi osobiście służy!

MICHAŁ.

Pocziwy człowiek jesteś, druh prawdziwy domu,
Więc powiem ci, co zresztą nie rzekłbym nikomu:
Mój ojciec, silny człowiek z szablą jak i w radzie,
Dotrzymał placu z szablą, lecz nie strzymał w zwadzie!
A otóż znam ja siebie; radbym służyć braci,
Nie patrząc na prywatę, płaci czas i traci,
I z szablą, wiesz ty że ja daję sobie rady,
Lecz w żaden w świecie sposób nie wytrzymam zwady!
Już taki jestem; trudno płynąć przeciw wodzie,
Nie jedno może mógłbym zrobić w bratniej zgodzie,
Lecz zwada u nas właśnie raną jest narodu:
Ja tego znieść nie mogę, choćbym konał z głodu.
Więc lepiej, że zapomną bohaterów syna,
Ma zresztą naród mędrców, z niemi niech poczyna.

KSIĘŻNA *(wchodząc nagle z gabinetu, z szkatułką w ręku).*
Cóż kupiec?

STALSKI *(składając ręce błagalnie).*

Księżna pani! jam tam nie był jeszcze!
(machając rękami wybiega głąbią, z pośpiechem).

MICHAŁ.

Ten kupiec... jakież dla mnie brzmienie ma złowieszcze...
W kłopotach wy jesteście, matko ukochana!...



ale i oburącz dźwignąć go nie mógł... (str. 270).

KSIĘŻNA (zagadując).

W kłopotach ja, ty w domu, siedzim dzień w dzień z rana,
 Miałeś być na Woli, tam gdzie wśród narodu
 Winieś być mu częścią, nam zaś głową rodu.
 Gdy w chwili najważniejszej przy wyborze króla
 Z obczyzny tu książęta lecą jak do ula,
 Z ważniejszych, Kondusze... Lotaryńczyk chyży,
 I jeszcze... pomysł co godzina świeży,
 Któż zgadłby, że w tej ludów wrzawie
 Syn Jeremiego nie jest, chociaż jest w Warszawie!

MICHAŁ.

I znów!... już Stalski nawet, moja matko miła,
 Coś mówił, w ten sens właśnie jakoś ty mówiła;
 Jeżeli o to idzie, bym się wnieszał w tłumy,
 To pójdę też na Wole, między te rozумы
 Gdzie króla nam sposobią swoi jak i goście,
 A gdzie ja tak potrzebny, jakby dziura w moście!

Lecz rzeczcie wprzódy matko, po co kupiec stary
 Bo ja złowieszczych przeczuć wiecznie mam bez miary?

KSIĘŻNA.

Ot pismo twego brata: za Sobieskim Janem
 Podąża on sterując czołnem skołatanem,
 Wezwany przezeń z wojskiem od tureckich granic;
 Lecz kosztów trzeba, zatem, nie zważając na nic,
 Ostatki z tej szkatuły co nas dawno żywi
 Niech idą, byle druhy ojca, dziś sędziwi,
 Na syna patrząc w zmienną tego świata doli,
 Nie ujrzeni nań nędzy, bo to nazbyt boli.

MICHAŁ.

Cóż sprzedasz? kiedy dawno cenne twe klejnoty
 Powoli z tej szkatuły żywią twoje sieroty,
 Nie stanie ich już pewno: czemuż ręki bratniej
 Nie mogę podać bratu!...

KSIĘŻNA (*otwierając szkatułę wyjmując pierścień*).

Jeden jest... ostatni...

MICHAŁ.

Twój pierścień... ten talizman stary twój rodowy...
Ja czuję, choć nie umiem wypowiedzieć słowy,
Jak smutno być ci musi zbyć ostatni szczałek
Z rozbicia uchowany dawnych twych pamiątek...
Ha, ależ zapominam, że mam spinkę drogą

(*odejmuje od szyi*)

Ot masz ją, sprzedaj, takie być kupione mogą,
A rodzinnych pamiątek gdy się raz je straci
Nie odzyska się więcej choć się łąą je płaci.

KSIĘŻNA.

Lecz jedną masz ją tylko!...

MICHAŁ.

Sprzedaj, niechaj służy

Dygnitarz z pana brata niech mi wzrasta duży;
Jak dyament dygnitarstwo dla mnie się nie przyda,
Mam z biedy w zysku spokój, więc mi miłą bieda
Byleby nie gnębiła brata mi i matki.

KSIĘŻNA.

Tyś syn i brat wzorowy, a i człowiek rzadki,
Dla czegoż o twe własne sprawy tak niedbały...

MICHAŁ.

Już idę na to pole gwaru, burd i chwały,
Gdzie ludzie się zawzięcie Bóg wie czém kłopotczą;
Już idę, choć dalipan, sam ja nie wiem po co.
(*całuje rękę matki i wychodzi drzwiami w głębi*).

KSIĘŻNA (*ogłędając spinkę*).

Cóż znaczy drobna spinka... ha, niech Michał myśli
Ze bratu się przysłuży... Co tam?

(*Stalski otwiera drzwi w głębi ciągnąc za sobą małą drabinkę lub schodki które chce ukryć wjrzuwszy księżnę*).

KSIĘŻNA.

Kupcy przyszli?

STALSKI.

Nie jeszcze, księżna pani, ale nim godzina
Upłynie, kupiec przyjdzie...

KSIĘŻNA.

Co to tam?

STASKI (*zakłopotany*).

Drabina...

(*d. c. n.*)

LEKCYA FECHTUNKU.

Adaś syn rodziców majątnych ze starożytnego rodu pochodzących, otoczony wygodami dostatkiem i liczną służbą, był też dumnym trochę i z lekceważeniem spoglądał na synów ofycjalistów i inne dzieci mniej starego rodu i uboższe. Rodzice sami opowiadali mu, że pierwszy ich przodek był prostym kmieciem, który na wojnie z Tatarami za któregoś króla Bolesława, dzielnym i odważnym czynem oddawszy wielką przysługę ojczyźnie, dostał za to od króla pełny rynsztunek wojenny, z herbem, znakiem szlachectwa na tarczy, ponieważ poświęceniem swém dowiódł, że miał szlachetną duszę; i od niego dopiero rozpoczęło się znaczenie téj rodziny, której każdy syn starał się o ile mógł dorównać w zasłudze przodkowi.

— A zatem i ty, Adasiu, myśl o tém abyś zacnem i czynami odznaczył się, jak twoi przodkowie, ażebyś był swego nazwiska godnym, ale nie wynoś się z rodu i powagi, które są twoich przodków a nie twoją zasługą, bo takie postępowanie jest niedorzeczne! — mówiła matka, a ojciec dodał, przyłożywszy usta do ucha Adasia i zasłoniwszy się obu rękami, aby stare ściany nie usłyszały:

— Jest głupota!...

Adaś zacerwienił się jak wiśnia na ten ostatni wyraz ojca i przez całe trzy dni był grzeczniejszym ze służbą i synami

ofycjalistów, dobrze wychowanymi chłopcami, którzy przeto przychodzili dla towarzystwa Adasia do pałacu i Adaś bywał u nich w ich dworkach z panem Zasławskim, swoim nauczycielem. Ale po trzech dniach wrażenie przeminęło i Adaś znowu z balkonu wołał rozkazującym tonem:

— Walenty! hej, siodłać mi konia, prędko, słyszysz!

Napróżno pan Zasławski tłómaczył, że Walenty nie może osiodłać kuca prędko, ponieważ Walenty stary jest taki, że jeszcze ojca piastował na rękę i nie powinien już dla swych zasług wcale kuca siodłać, gdyby i ojcu i samemu Walentemu nie chodziło o to, żeby kuc dobrze był osiodłany, aby Adasia jaki wypadek nie spotkał.

Albo znowu wołał Adaś na Stasia, syna rządcy, bawiąc się z nim w zbrojowni:

— No! nie ruszaj tego miecza, czy ty wiesz, co to jest? to mój prapradziad zdobył ten miecz na rycerzu krzyżackim, broniąc powierzonych mu granic! i odtąd sam go używał! To mój miecz! ty nie masz takiego!

— Nie mam istotnie! — powiedział Staś, patrząc z uwielbieniem na miecz starożytny.

Inni nauczyciele, chociaż nie tak nieodstępni byli przy Adasiu, jak pan Zasławski, przecież także spostrzegali niemądry kierunek, jaki mimo ich starań przybierały myśli Adasia i na wyścigi tłómaczyli mu, że tylko dokładne pojęcie powinności i ich pełnienie sumienne wyróżnia człowieka i podnosi go po nad innych, więcej nic! Adaś, choć w ogóle roztropny i przecież starannie wychowywany, słuchał uważnie, ale zapominał po chwili.

Aż raz zdarzyło się, że Adaś bawił się ze Stasiem w zbrojowni, jak zwykle zimą. Zbrojownia była to duża i długa sala w pałacu, miała lamperye u dołu, a nad niemi w framugach jedna przy drugiej umieszczone były pełne zbroje przodków Adasia, począwszy od téj najpierwszej, którą król Bolesław dał wraz z herbem szlacheckim, dzielnemu kmieciowi. Przy trzeciej z porządku znajdował się właśnie ów miecz krzyżacki, na Krzyżaku zdobyty. Staś coś cierpiał do tego miecza i znowu go ruszył.

— Nie rusz tego miecza, mówię ci — krzyknął Adaś — to jest miecz mego prapradziada kasztelana, to mój miecz! ty nie masz i nigdy nie będziesz miał takiego!

Na ten krzyk, Staś cofnął się od miecza i wziął inny popolity, stojący w kącie i machał nim sobie właśnie, a Oleś, syn nauczyciela, przypatrywał się temu, gdy drzwi w głębi otworzyły się i wszedł pan Zasławski, puszczając przed sobą drugiego obcego pana. Ten, zdjąwszy ze ściany ów miecz starożytny, podał go Adasiowi i rzekł:

— Proszę też pana Adama robić tym mieczem swego naddziada!

— Robić? — powtórzył Adaś zdziwiony, spojrzął na pana Zasławskiego, ale po jego oczach poznał, że należy być posłusznym obcemu panu; zatem ujął miecz jedną ręką, potem drugą, ale i oburącz dźwignąć go nie mógł od ziemi.

— Jakże więc możesz, panie Adamie, chlubić się mieczem naddziadów, skoro go nawet dźwignąć nie możesz? to raczej wstyd dla ciebie nie chluba! — rzekł obcy pan.

Adaś spuścił oczy, nie wiedząc, co odpowiedzieć i nie rozumiejąc, co ten pan jakiś obcy ma do czynienia w zbrojowni? A ten pan mówił tymczasem do Stasia:

— A pan, mały panie Stanisławie? spróbuj-no tego miecza, bo widzę że ze zwyczajnym umiesz się obchodzić — i podał miecz starożytny Stasiowi, wzięwszy wprzódy ten miecz z rąk osłupiałego Adasia.

— A! ja tak dawno pragnąłem spróbować, czy mu dam rady! — wykrzyknął Staś i chwyciwszy miecz potężny, umocnił się na nogach, rozstawiwszy je, lewą rękę w tył założył spokojnie i zamachnął mieczem raz i drugi.

— Bravo! ale tyś się musiał uczyć fechtowania! moje dziecko! — zawołał obcy pan, klasnąwszy w ręce.

— Tak, proszę pana, brałem lekcye, a... a pan może też jest nauczycielem?... — szepnął Staś z błyszczącymi oczkami.

— Tak—odpowiedział obcy pan—jestem nauczycielem fechtunku i przybywam tu z woli ojca pana Adama, którego mam uczyć tej sztuki, aby chlubiąc się bronią swych przodków, umiał ją dźwignąć przynajmniej i obejść się z nią, bo to nie tylko od siły ale i od umiejtności zależy...

— A pamiętaj, Adasiu — dodał ojciec, który od chwili stał na progu i słuchał tej rozmowy — że i z nazwiskiem jest różno. Trudny to ciężar do podźwignięcia, gdy je wstawili przodkowie niepospolitemi cnotami i czynami bohaterскими, bo potomek przedewszystkiem pamiętać o tém musi, aby nie przyniósł wstydu ich pamięci i choć w drobnej części to nich był podobnym. Ludzie, patrząc na niego, porównują go mimowoli do tych znakomitych jego pradziadów przykra to rzecz bardzo, jeśli się na tém porównaniu zadużo razi. Pamiętaj o tém, Adasiu.

Adaś nie zapomniał tej nauki i odtąd pozbył się zupełnie mieszczyńskiej dumy, a zrozumiał obowiązki, jakie wkłada nazwisko historyczne i zasługi bohaterskich przodków.

LANDGRAFÓWNA ZOSIA

POWIEŚĆ Z CZASÓW RYCERSKICH

przez M...a.

I.

Niewczesne słówko.

Wesoła wrzawa napełniała śliczną wzgórzystą okolice. To rozkoszny, pachnący dui wiosenny. Szmer radosny i pełne zapału okrzyki tłumów, szcęk broni, różne rzenie rumaków, dźwięki uroczyste trąb i wołania heroldów, wyraźnie dowodziły, że turniej rycerski, ta najpiękniejsza z średniowiecznych zabaw, odbywał się właśnie w pobliżu. Ale na kwiecistym, marmurami zdobnym tarasie wspaniałego zamku, przegładającego się w kryształowych wód zwierciadle, cicho było i bezлюдnie. Najoczywieścięj turniej odbywał się po przeciwniej stronie zamkowego wzgórza i dla tego właśnie tu było pusto, że tam zgromadziło się wszystko co żyło.

Wśród tej radosnej, z daleka dochodzącej wrzawy, na szczycie wspaniałego tarasu stała przeciw jedna żywa istota, którą po namyśle dopiero można było nazwać człowiekiem. Było to owo dziwne a konieczne dopełnienie wielkopańskiego dworu w tych odległych wiekach: karzeł, cudak potworny, przystrojony umyślnie w taki sposób, aby dziwniejszym jeszcze się zdawał. Cudaków takich używano czasem do najróżnorodniejszych posług, zwłaszcza jeżeli który był sprytny, a uważano ich powszechnie za istoty złośliwe. Ten, który samotnie stał na ozdobnym zamkowym tarasie, zwany Phil z dodatkiem „SzkaraDNA Potwora” uważany był za sprytnego i niepospolicie złośliwego i przeto po części nawet, urząd trenisza a raczej błazna dworskiego zajmował. Dworzanie, najniższych stopni szczególnie, gdy mogli go napotkać gdzie bez wiedzy kogoś poważniejszego, drażnili nieraz nieszczęśliwą istotę w taki sposób, jak niektórzy ludzie drażnią złego psa, aby śmiać się z jego bezsilnej złości. Rozumie się, że takie obejście nie czyniło karła lepszym. Przewzisko „SzkaraDNA Potwora”, miało przywilej pobudzania go do złości. Bywały chwile, w których rozdrażnienie jego dochodziło prawie do szału, a jedną z takich chwil była obecna. Phil był młody. Burzyło mu się w duszy i szalało, a gdyby można wyrazami stan jego ducha oddać, byłyby to mniej więcej takie zapewne wyrazy:

— Ty niebo i ty ziemio, wy ludzie i wy zwierzęta, które zęby pokazujecie na mój widok i zwiecie mię Szkaradną Potworą, cóżem wam winien, że żyję? za co mię prześladowacie? Ludzie weseli, szczęśliwi i piękni cieszą się pięknym życiem, a dla mnie mają tylko wzdarcę i śmiech, gdy ich konceptem lub skokiem zabawię. Gdybym mógł, uczyniłbym ich wszystkich tak nieszczęśliwymi, jakim sam jestem. Gdybym mógł,

zgniółł bym ich wszystkich i pozabijał, ale nie mogę, bo wtedy musiałbym także, zabić albo nieszczęśliwem uczynić to dziecko maleńkie, tę Zosię, która sama jedna na świecie nigdy dotąd nie dotknęła mię przykrem słowem.—

Tak myśląc, nieszczęśliwa istota zwróciła oczy na otwarte drzwi pańskiej komnaty, w której, nawprost tych drzwi rozświetlonych na wonny taras, siedziała piękna młoda dziewczyna, na niskim krześle, trzymając na kolanach maleńką, bogato ubraną dziewczynkę; dziecko drzemało zdala od wielkoświatowej wrzawy turnieju, może było trochę słabe.

Phil, popatrzył na to dziecko, z dziwnym wyrazem rozczulenia; tak, jak to psy czasem na lubione przez się dzieci pańskie patrzeć umieją; a w tém bogate ozdoby komnaty zwróciły znów myśli jego na bogatych i pięknych szczęśliwców, używających szczęścia; szal złości ogarnął nagle biedną istotę:

— Ha, zabiję chyba sam siebie, jeżeli się na czém bądź nie pomszczę za moje nieszczęście!—zawołał w bezrozumnym paroksyzmie gniewu i jak zwierzę dziki skoczył na małego kotka, drzemającego spokojnie na słońcu; Phil dusił i deptał miauczające stworzenie, gdy okrzyk przerażenia rozległ się po za nim:

— Szkaradny potworze, nie męcz kotka! — Krzyczała maleńka Zosia i wyrwawszy się piastunce, skoczyła ku nieszczęśliwemu kotowi, wydarła go z rąk osłupiałego Phila i uciekła z kotem do piastunki, zatrzaskując drzwi za sobą.

Karzeł pozostał jak skamieniały, choć w uszach dzwoniły mu ciągle dwa wyrazy: Szkaradny potworze!!

— I to ona mię tak nazwała, ona, która nigdy dotąd nie powiedziała tego, ona, której ja jednej dobrze życzyłem na świecie!.. — myślał Phil, a gdy tak myślał, wszystek gniew i wszystka gorycz jego duszy zwracała się na biedną małą Zosię, właśnie za to, że dotąd ona jedna miłą mu była, a teraz dwoma przykremi wyrazami, mimowoli, zabiła w nim to jedyne lepsze jego uczucie. Przez chwilę nędzne stworzenie drżało z bezsilnej złości, aż naraz oczy zaiskrzyły mu się. Phil podniósł zaciśnięte pięści ku drzwiom:

— Dobrze — zawołał — tęskno mi było na świecie, bo niewiedziałem, co mam na nim robić, ale teraz wiem! teraz będę mścił się na tobie, pieszczone księżęce dziecko, króre zabiło mi w piersi ostatnie ludzkie uczucie! będę się mścił, aż ty staniesz się tak nieszczęśliwą, że pozazdrościsz losu nawet mnie, Szkaradnemu Potworowi!

Wieczorem, gdy maleńka Zofia z babką swą Zofią Turyńską wracała od krennych do własnego zamku Wartburskiego, karzeł Phil, należący do ich dworu, znikł i nie powrócił więcej.

II.

Wierny sługa.

W jednej z najdzikszych miejscowości kraju, zawartego pomiędzy Werzą i Saalą, Harcem i lasem Turyńskim, wśród bezdennych górskich przepaści, lasów i skał, czerniały w wieku XIII złomy starego już i nawpół rozpadłego zamczyska, z którego dziś ani śladu nie pozostało. Przyczepiony do nagiej skały, odrapany, z oknami pozatykanemi tu pęcherzami, błoną zwierzęcą, ówdzie smolną cieuką deseczką, wyglądał on na zbójckie gniazdo, gdyż obok całego spustoszenia, bram miał silne i na wieżycy straż nieustanną, a miejscowość sama czyniła go obronnym, ponieważ przy budowaniu zamków dobierano ją pod tym względem starannie.

Wnętrze zamku odpowiadało zewnętrznemu wyglądowi. Niedbalstwo, nieład i bezrozumną próżniaczą swawolę, znać było na każdym kroku. Kilka postaci służalczych chrapało, leżąc tu i ówdzie na ławach; inne podobne, włóczyły się po kątach, ziewając, lub zlorzeczając przy każdym potknięciu o wjób w kamiennęj posadzce; inni jeszcze grali wkości przy kubkach i dzbanach, kłócąc się o wygraną, lub wybuchając hałaśliwym śmiechem z własnych niezdarnych konceptów. Wszystkie jednak oczy, nawet drzemające, zwracały się od czasu do czasu ku bramie.

— A kiedyż tam wrócą dzisiaj ci nicponie... — mrucał ten i ów.

— Łotry kuchty nie chcą nic dać jeść, dopóki tamci nie powrócą... — narzekał ktoś inny.

— O, mają słuszość kuchty, tybys pochłonał za wszystkich, i nicby nie zostało dla tamtych błaznów, którzy polują nam na pieczenie, — odparł drugi.

Tak i tym podobnie rozmawiała służba w zamczysku pewnego chłodnego i chmurnego popołudnia, oczekując na powrót panów i ich orszaku, a tymczasem poufale mianując ich nieponiamami, łotrami, błaznami... etc. Wśród takich zajęć i gawędek mało zważano na chuderlawego człeczynę, który przesuwiał się zwolna wśród próżniaczej gromady, pokaszlując i kulejąc trochę, nie różniąc się od niej na pozór, a przed którym ustępowano przeciw z drogi, spełniając czasem jakieś jego rozkazy; co dowodziło, że ten człowiek miał prawo tu rozkazywać, jakkolwiek karności drudnoby dopatrzeć w tej zgrai:

— O! o!... jaki Chrypka gorliwy, jak porządku pilnyje ho ho, co to za wierny sługa pański... — dziwili się przedrwiwając, ci obdarcie mocno dworzanie, ispoglądali za rządca, czyli burgrabią zamku, przezwanym Chrypką, z powodu chrypki i pokaszliwania zwykłego. Ludzie ci wszyscy wzajem przezywali się rozmaicie, drwiąc i szydząc z siebie nędznymi konceptami, jak to jest pospolitým pomiędzy tego rodzaju ludźmi, gdyż szyderstwo jest zwykle cechą braku serca i wykształcenia.

Chrypka włókł się leniwie tak przez wielką salę i sień, wyszedł na mury i popatrzał ztamtąd ku poblizkiej kniei, zkąd wyczekiwał myśliwych, wrócił do zamku, wązłkami schodami wdrapał się na piętro i obejrzał się: nie było tu ani żywego ducha, każdy używał wczasu na dole. Chrypka od razu przestał pokaszliwać i kuleć. Cichym, kocim krokiem wsunął się do izb małych a wysokich, lecz mrocznych, z powodu zbyt zagłębionych okien. Trochę bogatych zapon, porozrywanych i poplamionych, trochę zbroi kosztownej, lecz porzdewiałej, jeden i drugi sprzęt rzadki, bo do wygody służący, rozbity i zepsuty jakby umyślnie i łoża o rozrzuconem postaniu, wskazywały tu komnaty pańskie. Podobnych wspinałości próżnoby szukał kto, w reszcie tego zamku, zniszczonego jakby umyślnie.

Chrypka przeszedł te komnaty tak cicho, jakby grube sklepienia mogły zdradzić go odgłosem stąpań służbie, zabawiającej się na dole; przystąpiwszy do jednej z gładkich a zabrukanych ścian, dotknął jej, ona się otworzyła, Chrypka wszedł do mniejszej jeszcze od innych izdebki, i rzekł:

— A cóż?... znalazłeś?

Izdebka w której się teraz znajdował, była to szczególniejszego rodzaju skrytka, wymurowana z głazu od fundamentów, dwa razy trwalej niż nawet cały ten nieduży, ale na trwałość właśnie obliczony zameczek: także skrytki murowano w owych czasach na skarbcu, a także i troskliwiej jeszcze na skład dokumentów. Dokument i dzisiaj jest rzeczą bardzo ważną, ale w owych dawnych czasach był daleko ważniejszą jeszcze, bo dzisiaj są środki różne w wielu razach na otrzymanie duplikatu, jakich w owych czasach nie było. To też dokument był ceniony daleko więcej niż złoto.

Skrytka, do której wszedł burgrabia, była zbudowaną umyślnie ku przechowywaniu dokumentów i skarbów, ale zbudowaną przez pradziadów dzisiejszych właścicieli i przez nich napełnianą; następcy umieli ją tylko wypróżnić. Była to więc jakby piwniczka ciemna, pomimo że znajdowała się na piętrze, a wejście do niej tajemnicze było tuż koło łożka pańskiego. Pająki i kurz gospodarowały tu bezkarnie, skarbów nie pozostało ani śladu, tylko pargaminów trochę bez-

ładnie wyglądało tu i owdzie z pajęczyny, rozsnutej na pólkach w murze. Wśród tej kurzawy połyskiwała blade małeńka lampka, zawieszona u stropu, a przytém niepewne światło poruszało się tam dziwne jakieś stworzenie: drobne o długich rękach, grube, coś trochę do pająka podobne i do małpy nie dużej, lecz przeciw musiało ono być człowiekiem gdyż na pytanie Chrypki „A cóż? znalazłeś?“ odpowiedział skrzeczącym głosem, w którym zuowu zadźwięczało szyderstwo, ta cecha niskich dusz:

— Albo ja wiem...

(d. c. n.)

PROZA I POEZJA.

Trzeba ułożyć z tej prozy poezją; trzy pierwszestrofki powinny mieć po sześć wierszy, nierównozgłoskowych, cztery następne po cztery wiersze o jednakowej liczbie zgłosek.

O dziecię! gdy wyrośniesz, niech uplecie twa dusza cńd cichych wianek; niech władza twój miłości sprowadza serce bratnie w spłot harmonijny.

Komu zagasną gwiazdy, ty tchnij własną nadzieją w nojego życia; w twém łonie wiara czysta niech płonie jak kagańiec, i moc twą skrzepia.

Niech cicha dłoń twoja, jak skrzydło anioła kwiat dokoła rozsiewa; świat boli wciąż i cierpi, ty chętnie skłoń ucho ku wszelkiej niedoli.

Modlitwa, praca i pieśń niech drogi twój ślad znaczą, przy nich ubogi zakres życia ozłaca zorza.

A gdy Bóg zesle ci z swój łaski gwiazdę natchnienia, niech odbłaski jój promienne ocienia pokora.

Mąż bierze działem rozgłos, niech mu dni płyną w chwale nam iść doliną zieloną w miłości i wierze.

Niech nas w pomroczy wiedzy żywa nić powinności; zdrótoczy czyste wody, póki przepływa w cieniu.

Łamigłówa w kwadraciku.

Znaleść 4 zgłoski i przestawiając je tylko rozmaicie, ułożyć w 16 podziałkach wyrazy: 1. Miasto starożytne. 2. Sławny władca turecki. 3. Urojenie. 4. Nazwa biblijna krajiny azyatyckiej.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 32-go.

Szarady:

Lew — koń — ja *).

Łamigłówa gloskowej.

Piotr Skarga.

*) Wyraz ten pisze się wprawdzie inaczej, lewkonia, ale w szaradzie ujdzie ta mała zmiana.

TREŚĆ: Kościół Ś-go Piotra i Pawła na cmentarzu Ś-tój Barbary w Warszawie (z drzew.). — Dorcia, powieść przez Maryą Świdorską (c. d.). — Odświeżona tarcza obrazek dramatyczny p. M—a. — Lekcja fechtunku (z drzew.). — O listach i tłómaczeniach A. E. Odyńca p. Z. Morawską. — Łamigłówa i rozwiązania. W Dodatku: Nauka uszlachetnia (z drzeworytem). — Ciekawy Kazio wiersz. — Kanarek, z angielskiego (c. d.). — Łamigłówa, rozwiązanie, Odpowiedzi redakcyi i ogłoszenia. Dodatek książkowy: Moufflou nowella Ouidy w przekładzie Maryi Nowickiej.

Nauka uszlachetnia.

(Dokończenie).

III.

Z wielkim wstydem i gniewem zostało tedy wesele bez muzyki, a biednego Antosia zaprowadzono do wójta. Antos nic się nie lękał bo miał papiery w porządku i pewien był, że zaraz na wesele wróci. Ale pokazało się, że pan wójt czytać nie umiał, a pisarza, który tę sztukę posiadał, nie było, bo pojechał do drugiej wsi, zatem wepchnięto Antosia do ciąsnój ciupki, aby tam czekał powrotu pana pisarza i sprawdze-



nia swoich papierów. Chłopak zasnął dopiero nad ranem, na wiązce słomy porzuconej tam dla niego; był mocno niezadowolony, skłopotany, a przytém wyspał się przed wieczorem, więc nawet téj ulgi nie miał, żeby zasnąć od razu. Nazajutrz zaś gdy go zbudzono, słońce już było wysoko, pan pisarz przyjechał, papiery rozpatrzył, znalazł je w porządku, i przeto wywiódłszy Antosia z ciąsnój ciupki oddano mu papiery i kazano iść precz za ludziom czasu nie mitrzyć swoją osobą.

Poszedł tedy chłopak w swoją drogę dalej, zauważywszy, że podróż jego nie bardzo dobrze jakoś się zaczyna. Pomimo wszelkiej oględności na jutro, trzeba było napocząć maleńki zapasik matczynych oszczędności, i na pożywienie i na niedużą wprawdzie zapłatę spotkanemu wieśniakowi, który na swój wóz przysiąść się małemu podróżnemu pozwolił. Jednakże ponieważ droga nie była zbyt daleka, więc trzeciego dnia, Antos dostał się do większego miasta gubernialnego do którego dążył, ponieważ wiedział, że i ów artysta koncertant tam właśnie się udał po owym sławnym koncercie. Antos odechnął ujrawszy się w sporém mieście, i zdawało mu się prawie, że już osiągnął wszystkich celów swoich. Kręcąc się albowiem po dworach i w rodzinném miasteczku, i umiejąc przytém czytać, wiedział on rozmaite rzeczy o tém, jakiami to drogami i sposobami uzdolnieni chłopcy i dziewczęta mimo ubóstwa wychodzą czasami na wielkich i sławnych i bogatych artystów. Słyszał np. czy też czytał o pewnym chłopcu,

że na podwórzach grywał na skrzypeczkach, aż ktoś, znawca jakiś poznał talent z gry jego i wywiódł go z ubóstwa, łącząc na jego wykształcenie. I mnóstwo podobnych wiedział Antos przykładow, i szczerze mówiąc, nie na co innego on właśnie rachował, tylko, że go ktoś usłyszy, pozna jego talent i doprowadzi do pierwszych stopni sławy i majątku, po których on już sam wyżej pójść potrafi.

Takie było istotne marzenie Antosia, i dla tego dążył on do miasta. Nie myśląc też wiele, wszedł Antos do pierwszego dużego domu, stanął wśród podwórka i zaczął grać. Grał jakiś czas, panowie jeden i drugi przechodzili koło niego, ale żaden nie zwrócił na niego uwagi; wtém pieniądź miedziany rzucony z któregoś okna na piętrze upadł mu u nóg. Antosowi dziwnie się jakoś zrobiło, cofnął się. Po namyśle jednak zauważył, że taki sposób zarabiania na życie o jakim on nie pomyślał, będzie może jedynym, bo już sam miarkował, że na weselach nie tak łatwo mu będzie grywać w mieście jak na wsi: podniósł tedy ów pieniądź, schował i grał dalej.

Tak raz począwszy zawód swój w mieście, grajek wiejski stale już łaził po podwórzach grywając dla zwrócenia na siebie uwagi znawców, a tymczasem zbierał miedzaki aby żyć. Ów uczciwy wstręt jaki uczuł ujrawszy pierwszy taki pieniądź u nóg swoich, zniknął coraz bardziej, aż zatarł się zupełnie w duszy wiejskiego grajka. I byłby on zapewne wyszedł z czasem na podwórzowego prawdziwego włóczęgę, gdyby nie przypadek, ale wcale inny, nie taki jakiego chłopak się spodziewał, i jakiego pragnął:

IV.

Zdarzyło się, że Antos grał przed żelazną kratową bramą, wielkiego domu. Do wnętrza domu prowadziły ogromne szerokie schody, po których hurmem zbiegali właśnie chłopcy starsi i młodszy w jednakowych mundurkach, gdyż była to szkoła. Antos wiedział o tém i często przychodził tam w południowej godzinie „wolnej” gdy uczniowie i profesorowie przechodzili tuż koło téj bramy, przed którą on stał, bo przecież na sam szkolny dziedziniec wchodzić mu było nie wolno.

Czasem ten lub ów dał mu jakiś pieniądź, czasem nie, ale mu stać i grać nie broniono, bo miał ten rozum, że przychodził tylko w chwilach południowej przerwy w naukach, ażeby w nich graniem nie przeszkadzać. Bywał zaś tam dla tego, że miał nadzieję, iż pomiędzy uczonymi profesorami znajdzie się przecież taki, który się pozna na jego talencie i stanie się dlań tym upragnionym protektorem, którego on szukał. Dotąd nikt się taki nie znalazł, lecz Antos wytrwale grywał w południe przed żelazną kratowaną bramą na wprost wielkich schodów szkolnych. Raz jednak odważył się, wszedł i stanął przy samych schodach, a właśnie uczniowie całą chmarą przebiegli po schodach koło bramy do ogrodu za gmachem szkolnym. W tém, ze szczytu owych schodów ukazał się zstępujący zwolna jeszcze jeden chłopaczek kulejący na nogę; nagle nieostrożnie stąpiwszy, pośliznął się i upadł z bolesnym okrzykiem. Byłby nieomylnie spadł z wysokich schodów i może zabił się, albo ręce i nogi połamał, gdyby Antos zawczasu spostrzegłszy, że tamten chwieje się i poślizguje, nie był skoczył w sam czas na schody i nie przytrzymał spadającego z nich chłopczyka.

— Oj, moja noga! noga! noga! — krzyczał chłopaczek.

— Niech paniczek dobrze usiądzie i trzyma się poręczy, aby nie spadł a ja popędzę co tchu dam znać panu profesorowi, że paniczek upadł — rzecze Antos.

— Tak, a oni tam tymczasem zjedzą wszystkie truskawki w ogrodzie, bo tylko przez godzinę mamy dziś pozwolony *rabunek!* — zawołał ze łzami chłopczyk.

Antos rozmawiał się bo już domyślał się słysząc codziennie z daleka rozmowy uczniów, że nauczyciele dla uciechy i dla zdrowia pozwalali chłopcom co dzień, gdy dojrzewały owoce

na tak zwany żartem „rabunek” to jest zerwanie i zjedzenie tyle owoców, ile każdy nadaży.

— No, jeżeli noga nie bardzo dolega, a paniczyk chce, to ja go wezmę „na barana” jak my wiejscy chłopacy nazywamy i zaniosę do ogrodu — powie Antoś.

— O, mój najdroższy, zrób tak! zrób! — zawołał mały uczeń.

Antoś też natychmiast wziął go na plecy i powoli, zszedłszy ze schodów zaniósł do ogrodu i postawił tuż przy truskawkach obsiedzionych rojem uczniów jak plaster miodu pszczołami.

— O, o, a to co, patrzajcie, jak Adaś do nas jedzie — wołali chłopcy śmiejąc się, ale przestali się śmiać, gdy na pytania profesorów Adaś opowiedział, jak byłby się zabił, gdyby go pocziwy grajek nie uratował.

Grajka znali już wszyscy i obścąpili go teraz. Jeden z profesorów chciał mu dać dość znaczną kwotę pieniędzy, ale Antoś chwytając w lot fortunę jak sądził, podziękował za pieniądze i poprosił raczej o światłą radę.

Zdziwiło to profesorów, zaczęli pytać, Antoś opowiedział, że chciałby kierować się na artystę i nie wie, jak to uczynić. Natenczas kazano mu grać, zaprosiwszy bliżej jeszcze jednego starego profesora siedzącego z daleka, który był nauczycielem muzyki. Wszystko zatem składało się wedle marzeń młodego grajka, który zaczął grać zapalczywie chcąc się popisać. Stary nauczyciel słuchał, głową kiwał i wreszcie rzekł w te słowa:

— Mój chłopcze, masz ty jak słyszę w tej chwili pewien talent do muzyki, ale wierz mi, albo mię doświadczenie bardzo myli, albo to jest bardzo maleńki talencik, na który rachując zbyt wiele, możesz tylko marnie zginać, nie doścignawszy wcale wyżyn sztuki. Jest tu bardzo wiele takich jak ty, których jak miarkuję i po tobie, wiedzie na artystyczne ścieżyny nie rzeczywiste zamiłowanie, tylko chęć zdobycia świetnej przyszłości: no, mów prawdę, zgadłem? czy nie?

Antoś zacerwienił się na to jak burak, a profesorowie kiwając głowami powiedzieli wtedy:

— Aha!... — a w tym sam przełożony szkoły rzecze:

— Słuchaj mój chłopcze, winien ci jestem bardzo wiele za to, żeś ucznia mego od nieszczęścia uratował; zatem posłuchaj co ci poradzę: oto zamiast włóczyć się po ulicach i podwórzach ze skrzypką, co jest próżniactwem i wstydem dla zdrowego chłopca, a znie wagą dla sztuki, zostań ty w mojej szkole na usługach paniczów w godzinach wolnych, a w innych będziesz bywał na lekcjach, które profesorowie ci wyznaczają abyś mógł nauczyć się czego pożytecznego. Bo przecież i przy największym talencie do muzyki innej, nauki koniecznie ci potrzeba. Będziesz się prócz tego uczył muzyki, a tak, najdokładniej przekonamy się i ty sam zobaczysz co z ciebie być jeszcze może? Bo widzisz mnie się zdaje, że ci brak chęci do pracy; a nawet, jeżeli się nie mylę, toś ty próżniak kochanku; o artyzmie myślisz, bo ci się zdaje, że artyzm lekko przychodzi, a pojęcia nie masz jakiej to pracy szalonej on wymaga. No, przystajesz na moją radę? masz ochotę pracować?

— Przystaję i bardzo dziękuję panu — odrzekł Antoś.

Wszystko tak się stało, jak profesor mówił. Z początku Antosiowi nie bardzo podobała się praca i nauka, lecz powoli zaprzyjaźnił się z Adasiem, który to zniósł go ze schodów, a że Adaś uczył się wzorowo, przyjaźń więc jego i wpływ lekcji rozjaśniających umysł, nieznacznie ale stanowczo zaczął działać na Antosia. Powoli zaczynał wstydzić się swego polowania na protektora i chęci łatwego z bogacenia, bo poznawał, że nieuk nigdy do niczego nie dojdzie. To też gdy przypomniał sobie owe miedziaki, jakie podnosił w podwórzach, to aż łzy mu w oczach stawały i gniew na samego siebie go dusił, tak, że o mało chłopak sam siebie z gniewu nie rozdarł, za owo znikczemnienie swoje.

— Bo — myślał sobie — gdybym drzewo rąbał za zapłatę, toby nikt mi jęj nie śmiał rzucać jak psu, tylko podałby mi grzecznie, a to jest dowód, że ta praca byłaby godną szacunku, a za granie rzucano mi pieniądze z litości, jak jałmużnę.

Z tej jednej myśli Antosia, można już spostrzedz, jak da-

lece uszlachetniała go nauka; równocześnie zaś przekonywał się coraz bardziej, że stary nauczyciel muzyki dobrze odgadł od razu jego usposobienie i rodzaj talentu. W istocie, systematyczna, gruntowna nauka muzyki, ciężkiej wymagająca pracy, nie szła mu wcale do głowy, a ztąd i nudziła go okrutnie. On umiał tylko uchwycić zasłyszaną nutę i wyrzepolić ją na swoich skrzypkach, ale więcej nic; po roku, sam to już rozumiał dokładnie. Natenczas przełożony szkoły zawezwał go do siebie i tak doń przemówił łagodnie:

— Moje kochane dziecko, rok upłynął odkąd u nas jesteś. Z wielką radością przekonałem się, iż się myliłem sądząc, że jesteś zepsutym próżnowaniem; nauka w sam czas cię uratowała. Dziś jesteś już na dobrej drodze i masz nawet dużo rozsądku; powiedz-że mi, co chciałbyś dalej z sobą począć, a może ja ci w tym pomogę, bo wiem, że już o artyzmie nie myślisz.

Antoś z uszanowaniem pocałował przełożonego w rękę jak ojca i tak odpowiedział:

— Jaby m proszę pana profesora chciał dalej pozostać przy szkole jak jestem, służyć uczciwie i uczyć się dalej, a czasu teraz będę miał więcej, bo dam pokój muzyce, tylko będę sobie grał po dawnemu bez nauki, jak mi ochota przyjdzie, bo widzę, że mnie tylko próżność do muzyki popychała.

— Bardzo dobrze moje dziecko, ucz-że się dalej, dopóki młodość służy, a jeżeli chcesz mi wierzyć, to postaraj się zdać egzamin na wiejskiego nauczyciela. O ile miarkuję z twoich zdolności, będziesz prawdziwie pożytecznym i szanownym członkiem społeczeństwa i w dodatku posiędziesz ten uczciwy dobrobyt zapewniający szczęśliwą mierność, do jakiego ma prawo i powinien dążyć każdy człowiek.

Tak powiedział przełożony szkoły i tak się stało: Antoś w kilka lat później zdał egzamin na nauczyciela wiejskiego, dostał stałą pensję i śliczny domek w którym ulokował wygodnie matkę staruszkę. Chciał zabrać i siostrę, ale ta bywając u niego bardzo często, nie chciała przecię odstępować swojej panienki, u której się póty uczyła, aż wykształciła się o tyle, że gdy panienka wyszła za mąż i miała dzieci, to ona te dzieci wychowywała i uczyła przez kilka lat, oddając w ten sposób dzieciom swęj pani to, co jęj zawdzięczała sama. Później i Kasia poszła za mąż, ale została wraz z mężem który był oficyalistą, w domu dawnęj swojej panienki.

Bardzo często młoda pani ze swemi dziećmi i Kasia ze swojemi zaglądały do wiejskiej szkółki, gdzie wesoly i zadowolony Antoś uczył z zamiłowaniem wiejską dźiatwę, przygrywając czasami na skrzypczkach w święto lub w niedzielę dla ogólnej uciechy. Powtarzał jednak zawsze:

— Uczcie się drogie dźiatki moje, bo tylko nauką i pracą dochodzi się uczciwego kawałka chleba, a ja sam byłbym został mizernym grajkiem włóczęgą, gdyby mnie nie uszlachetniała nauka.

CIEKAWY KAZIO.

Kazio raz chciał koniecznie zajrzeć wewnątrz ula, I zobaczyć czy prawda, że to pszczoły same Ulepić wosk umieją. A więc się otula, I pędzi do pasieki w południe, przez bramę. W czapce dużej na głowie, chustką otulony, W rękawiczkach na ręku, z osłoniętą szyją Zdało mu się, że jest już dobrze uzbrojony, Przeciw pszczołom; i nie dbał o pomoc niczyją. Lecz w południe największa pośród pszczoł robotą. Jedne znoszą słodycze; inne je składają, Lepiąc z wosku komórki; otwierają wrota Dla najmłodszych pracownic, porządek trzymają, Żeby wszystko wśród ula poszło jak należy; Próżniakom nie przebaczą, a pracują skrzętnie, A uczą, a pilnują w robocie młodzieży; Nie nawidząc, gdy im kto przeszkadza natrętnie I zagłada do ula i robotę psuje. Lecz Kazio się tam o to nie zatroszczył wcale.

Mówił sobie: „Ogrodnik tak tylko żartuje,
 „Gdy przynosi miód w plastrze, albo też w kawale
 „I powiada, że pszczoły, mizerne owady,
 „Same na to pracują; przecież jam już duży,
 „Mam rok siódmy, a jednak nie dam sobie rady
 „I w wielu rzeczach czekam aż mi kto usłuży.
 „Więc skądżeby pszczoły miały być tak radne,
 „Domki z wosku lepiły, no, i miód zbierały!
 „Myślą, że w to uwierzę, ot bajeczki ładne
 „Żebym był w pracy chętny, w nauce wytrwały.
 „Raz się muszę przekonać!... To mówiąc zaczyna
 Uchyłać w ulu drzwiczki, zagląda ciekawie,
 W ulu szumi — a ciemno. — Wtém biedny chłopczyzna
 Krzyknął z bólu, raz, drugi, i upadł na trawie!...
 A rój pszczół nie zważając na ból, ni na krzyki
 Coraz więcej go kasa i żądłami kole.
 Wdarły się pod ubranie, weszły aż w trzewiki,
 Klójąc Kazia po rękę, po nogach, po czole!
 I kto wie, coby z biednym chłopczykiem się stało,
 Gdyby właśnie ogrodnik nie wszedł do pasieki
 I nie nakrył biedaka jakąś płachtą białą,
 I nie zaniósł od razu do pobliskiej rzeki,
 Gdzie skąpał zaraz chłopca i utopił pszczoły.
 Potém zwawo panieca odniósł znów do mamy...
 Leży Kazio spuchnięty, ledwo żyw na poły,
 Oczu mu nic nie widać... A mama balsamy
 Różne mu wciąż przykładła, by ulżyć dziecięciu
 Siedzi przy nim dzień i noc. Kazio miał gorączkę,
 Mówił ciągle od rzeczy; aż po dniach dziesięciu
 Oczki wreszcie otworzył i wyciągnął rączkę:
 „Mamuniu, srogą od pszczół naukę dostałem,
 „Teraz wierzę w ich pracę, choć ję nie widziałem,
 „Wiem, że pszczoły, choć drobne, pracować umieją
 „Lecz ci zbierać nie mogą, którzy nie posieją.
 „A gdy tylko Bóg zdrowiem obdarzył mię raczy,
 „Próżnującego Kazia mama nie obaczy;
 „Bo wstyby mi było, gdy pszczoła pracuje
 „Ja taki duży chłopiec, a jeszcze próżnuję.

Jun.

KANAREK

Z ANGIELSKIEGO PRZEZ L. T.

(Dokończenie).

— Jużem przygotowała klatkę i wezystko! — zawołała Edyta zalewając się łzami.

— Muszę ci wszystko opowiedzieć — rzekła matka, Edyta wysłuchiwała historii Natalci, ale twarzyczka ję nie wypogodziła się.

— Pipa tak samo potrzebuję, jak i Natalcia — powiedziała, a zresztą to *mój* ptaszek.

Pani Leigh odsunęła Edytę od siebie.

— Bardzo dobrze, będziesz miała twego ptaszka; nie dziś wieczór, ale jutro rano. Myślałam, że zgodzisz się, by go Natalcia zatrzymała póki nie wyzdrowieje, tém bardziej, że gdyby nie Brownowa dawno byłby ginął z głodu; ale ponieważ sądzisz inaczej, pojedziemy do nię i zabierzesz ptaszka, tylko, pod pewnym warunkiem.

— Pod jakim mamó? — spytała Edyta niespokojnie.

— Powiem ci jutro, a teraz idź spać — rzekła pani Leigh.

— Mamó — zawołała dziewczynka — czemu nie pocałujesz mnie? czy się na mnie gniewasz?

— Nie, zmartwiło mnie tylko, że moja córeczka ma takie niedobre serduszko. Ale idź spać, bo już późno.

Edyta odeszła do swęgo pokoju smutna; nie wyglądając wcale na dziewczynkę, która odnalazła dawno utraconego ulubieńca.

ROZDZIAŁ XI.

— Pod jakim warunkiem odbiorę Pipa? — myślała Edyta, ubierając się nazajutrz rano.

Wiedziała doskonale, co znaczyło „pod jednym warunkiem”, bo mama bardzo często mówiła: „Możesz się bawić na słońcu, ale pod warunkiem, że włożysz kapelusz”, albo „Możesz siedzieć dziś dłużej, pod warunkiem, że jutro pójdziesz wcześniej spać”.

Edyta domyślała się więc, że przed otrzymaniem ptaszka będzie musiała zrobić coś, niebardzo przyjemnego, nie mogła jednak zgadnąć coby to było. Służąca weszła do ję pokoju, mówiąc, że mama kazała ję się śpieszyć, bo wyjdą zaraz po śniadaniu i mają zabrać z sobą klatkę i paczkę siemienia.

Edyta zbiegła ze schodów śpiwając wesoło, ale radość ję znikła na widok mamy wyglądającej tak poważnie, jak wczoraj wieczór.

Edyta zbliżyła się do nię nieśmiało.

— Czy mi mama powie teraz, jaki jest ten warunek? — spytała.

— Powiem ci w drodze — odpowiedziała pani Leigh, wsiadając do powozu, gdzie już była klatka i siemię.

Edyta nie była zbyt uszczęśliwioną; by zagłuszyć niepokój powtarzała po cichu. „Jedziemy po Pipa; jedziemy po Pipa”. Mama jednak była ciągle poważną i nie rozmawiała z nią jak zwykle.

— Czy mama się cieszy, że zobaczymy Pipa? — zapytała wreszcie.

— Owszem kochanko, cieszę się.

— I ja także.

Jechały znów w milczeniu wkońcu Edyta odezwała się!

— Mamó?

— Co kochanko?

— Czy mi mama powie teraz, co to za warunek?

— Owszem, Edyto. Warunek jest ten, że ty sama powiesz Natalci, żeś przyjechała zabrać ję ptaszka.

— O, mamó! — zawołała Edyta, rumieniąc się; — dla czego?

— Bo ja nie mogę. Za nic w świecie nie zrobiłabym czegoś tak niepocziwego. Wsiądź teraz, powóz nie może jechać dalej, bo droga jest za wązka.

Edyta szła za matką ze smutnie zwieszoną główką.

Kingowa stała przed drzwiami chatki.

— Czy możemy się widzieć z panią Brownową? — spytała pani Leigh.

— Jest na górze ze swoją córeczką. Jeżeli pani zechce zaczekać to zawołam ję.

— Nie potrzeba, pojedziemy na górę. Chodź Edyto.

Weszły na schody; przededrzewami pani Leigh zatrzymała się, kładąc palec na ustach. Przez otwarte drzwi widać było Natalcię leżącą na łóżku z zamkniętymi oczkami.

Jakież było zdziwienie Edyty gdy poznała w chorém dziecku, dziewczynkę która tak ję się podobała i za którą tak się zawsze rozglądała po ulicy.

— Mamó — szepnęła — to ona. To moja dziewczynka!

— Cicho! — odparła pani Leigh, bo Natalcia poruszyła się na łóżku.

— Mamó, gdzie jesteś? — zapytała słabym głosem.

Brownowa zbliżyła się do łóżka, stała do drzwi tyłem i nie mogła widzieć pani Leigh.

— Obudziłaś się narazście kochanko? już blisko dziesiąta; musiał cię pokrzepić taki długi sen.

— Chodź mateczko, chcę ci coś powiedzieć.

— A co Natalciu?

— Już dawno nie śpię, myślałam.

— O czem, kochanko?

— Byłam wczoraj bardzo niegrzeczna i samolubna, ale dziś będę grzeczna. Niech mama zaniesie Pipa do jego państwa, ja nie będę płakała, tylko chciałabym żeby go mama zaraz odniosła, póki jestem na to zdecydowana.

— A, teraz poznaję moją pocziwą Natalcię — zawołała wesoło Brownowa; — wiedziałam, że się zgodzisz na oddanie go dzisiaj i tak też powiedziałam tę pani.

— Jakięj pani, mamó?

— Spałaś wczoraj wieczorem i nie wiesz, że byłam u właścicielki Pipa; to ona przysłała ci rosółek, który ci tak smakował. Powiedziałam ję, że Pip jest zdrów, i że go dziś

odniosę. Jój córeczka myślała już, że nigdy nie zobaczy swego ptaszka.

— Jój córeczka? To Pip należy do takiej dziewczynki jak ja?

— Tak, kochanko.

— O, biedna! jak ona musiała tęsknić do swego ptaszka. Jaka ja byłam niedobra, żem go jój wczoraj oddać nie chciała. Odnies go zaraz, mateczko.

Pani Leigh spojrzała na Edytę; dziewczynka zaczerwieniła się. Wzrok mamy zdawał się mówić:

— Ty nie żałowałaś Natalci, a ona *ciebie* żałuje. Ty usłyszawszy jój historią powiedziałaś: „Tak samo potrzebuję Pipa jak i ona; a zresztą, to *mój* ptaszek”. Ona usłyszawszy o tobie mówi: „O biedna! odnieś go jój zaraz”. *Tys* myślała tylko o sobie, *ona* myśli tylko o tobie.

Edyta chciałaby się była schować pod ziemię, uciec gdzie daleko i nie słyszeć głosu Natalci, ale mama trzymała ją mocno za rączkę i musiała zostać.

— Przynies mi kanarka, mamó; niech go jeszcze raz pocałuję.

— Tiu-u, tiu-u — odezwał się Pip.

Edyta podniosła główkę na głos swego ulubieńca, lecz spuściła ją wkrótce słysząc smutne słowa Natalki.

— Do widzenia ptaszku — mówiła dziewczynka ze łzami — kochałam cię bardzo, było nam tak dobrze razem, ale ty nie do mnie należysz, trzeba cię oddać twojej pani.

Dziewczynka rozplakała się głośno; w sieni także słychać było łkanie.

Edyta wyrwała się matce i wbiegła do pokoju.

— Nie, nie żegnaj się z nim — wołała — biorąc Natalcię za rączkę, ja ci go nie odbiorę; będziesz go miała, póki tylko zechcesz, tylko nie płacz, uspokój się.

I Edyta własną swoją chusteczką obcierała oczy Natalci, a Brownowa płakała z radości.

Pip skakał i trzepotał się w klatce śpiewając wesoło na widok swój pani, którą zaraz poznał. Ale Edyta zbyt była zajęta Natalcią, by zważać na niego i pani Leigh ucieszyła się bardzo, widząc, że jój córeczka zapomniała o własnej radości wobec szczęścia innych. Otworzyła klatkę a Pip korzystając ze swobody usiadł na ramieniu Edyty, która okryła go pocałunkami.

Natalcia przyglądała im się z uśmiechem.

Przyniesiono klatkę Pipa i dziewczynki zaczęły wesoło rozmawiać; w pół godziny były najlepszymi przyjaciółkami, jak gdyby się znały od dawna.

Edyta nie chciała wracać do domu, matka zabrała ją jednak, obawiając się zbyt wielkiego zmęczenia dla Natalci, obiecawszy, że wróci nazajutrz.

— Tak jestem szczęśliwa, mateczko! — powiedziała Edyta, wsiadając do powozu.

— A gdzie jest Pip? — zapytały razem Małgosia i niańka, gdy dziewczynka wchodziła do swego pokoju.

— Nie przywiozłam go, został u biednej Natalci — odparła. Wieczorem mama długo z nią rozmawiała, wykazując jak to źle być samolubną.

Edyta poczuwała się do winy z taką pokorą, że mama chętnie jój przebaczyła. Chciała jednak wiedzieć jak daleko córeczka posunie zaparcie się siebie i postanowiła nie mięszać się zupełnie do odebrania Pipa.

Codzień jeździły do Natalci, która z każdym dniem była silniejszą, ale Edyta nie wspominała nawet o Pipie. Pani Leigh zaczęła wreszcie sądzić, że Edyta chce go podarować Natalci.

Dzień odjazdu zbliżał się; radość Edyty z powrotu do mu zatrzymała myśl rozłączenia się z Natalcią.

— Tak mi przykro będzie opuścić Natalcię — rzekła raz do mamy, i...

— I co, kochanko?

— Tak jój będzie smutno rozstać się z Pipem, więc... głos jój zadrżał i łzy stanęły jój w oczach.

— Więc co, córeczko?

— Postanowiłam darować go Natalci — zawołała wybuchając płaczem. Zrobię to, mamó, tylko nie mogę wstrzymać się od płaczu; będę tęskniła do Pipa.

— Nie mogę ci wypowiedzieć, kochanko — rzekła mama, biorąc ją na kolana — jak mnie cieszy ten objaw twego dobrego serduszka. Ale nie potrzebujesz robić z siebie takiej ofiary, bo nietylko z Pipem, ale i z Natalcią nie będziesz się potrzebowała rozłączać.

— Jakim sposobem, mamó? — zapytała Edyta.

Pani Leigh powiedziała jój, że w Homeleigh był wolny domek z ogródkiem, i że tam będzie mieszkała Brownowa, utrzymując się z uprawy ogródka i hodowli drobiu. Natalcia będzie chodziła do wiejskiej szkółki, a potem będzie służącą w pałacu.

Nie potrzebuję wam opisywać radości dziewczynki; muszę tylko dodać, że nikt nie miał nic do zarzucenia tym zamiarom i Natalcia pojechała z Edytą, a wszystkiego był przyczyną *Kanarek*.

Łamigłówka kryształowa.

1. Spółgłoska.
2. Miara czasu.
3. Nazwa wiatru.
4.
5. Wyspa.
6. Rodzaj broni.
7. Spółgłoska.

Środkowy wyraz i środkowe litery utworzą imię starożytnego króla i założyciela sławnego miasta.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 32-go.

Homonimów :

Róża.

Skrzynka do listów.

Pani Wojniłowiczowej w Suchocynie. Półroczna prenumerata „Wieczorów” wynosi rs. 2. kop. 50, 10 kop. przeto przysłano za nadto. N-r 39 wysłany.

P. Helenie Kuruszewiczowej. N-ra żądane wysłano.

Walerya Giewartowska

PRZEŁOŻONA ZAKŁADU NAUKOWEGO ŻEŃSKIEGO,

przy ulicy Ogrodowej Nr. 25.

Zawiadamia osoby interesowane, że z dniem 19 Lipca przeniosła mieszkanie pod Nr. 22 na tejże ulicy. Zapis uczennic rozpocznie się d. 8 (20) Sierpnia r. b.

PRZEŁOŻONA PENSJI WYŻSZEJ ŻEŃSKIEJ

MARYA MATUSZEWSKA

w Warszawie, przy ul. Leszno Nr. 28, zawiadamia, iż zapis uczennic odbywa się codziennie od 9-tój do 5-tój. Kurs nauk rozpocznie się 20 Sierpnia. 4—2